

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy“

# GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

T Y G O D N I K

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

## Afganistan na szachownicy azjatyckiej

### NIEDYSKRECJE:

Konflikt w komisji budżetowej . . . . .	274
W drugiej „turze” wyborów . . . . .	”
Król Afganistanu przybywa do Polski . . . . .	”
Dobre chęci p. posła Bogomołowa . . . . .	”
Złoty cielec . . . . .	265
PO STABILIZACJI — NOWY ZWROT — I. Gruzewski . . . . .	”
AFGANISTAN NA SZACHOWNICY AZJA- TYCLIEJ — St. Poraj . . . . .	”
LEGENDA O POTĘDZE ISLAMU—L. Ro-n. W DŻUNGLI PARAŃSKIEJ — Wojciech Szu- kiewicz . . . . .	277 278
EPOKOWY WYNAŁAZEK W ROLNICTWIE GILZOGRANUM — Jan Strugiński . . . . .	279

### „GŁOS PRAWDY LITERACKI”

K. P. Tetmajer laureatem . . . . .	280
Zapowiedź Powieści — Emil Breiter . . . . .	280
Z martwej roztoki — Wł. Orkan . . . . .	281
Na marginesie dyskusji w sprawie katedr li- teratury współczesnej na uniwersytetach A. Barta . . . . .	281
Wanda poezji polskiej — Henryk Drzewiec- ki . . . . .	283
Zielony sezon wydawniczy — Juljusz Kaden- Bandrowski. . . . .	284
Whitmaniana — Ignis . . . . .	286
Wśród czasopism . . . . .	287
Z bibliofilskiej antologii . . . . .	287
Odpowiedzi Głosu Prawdy Literackiego . . . . .	288



## NIEDYSKRECJE

KONFLIKT W KOMISJI BUDŻETOWEJ, jaki wynikł między przewodniczącym komisji, pos. Byrką a większością komisji był wprawdzie drobną sprawą. Rzucił on jednak snop światła na niedomagania naszego parlamentaryzmu, jeśli idzie o sprawność w jego pracy państwowej. Członkowie komisji pokwapili się zbyt ochotnie ku dawnym zwyczajom parlamentarnym, których zasadą było znane przewlekanie spraw, uzgadnianie, referowanie i cały szereg tych najrozlicniejszych... anie; tymczasem sprawy same czekały na rozwiązanie, reformy zasychały w spiżarni rękopisów i referatów, a ludność czekała... Nowy Sejm zebrał się pod hasłem pracy i to pracy szybkiej, owocnej, nie obciążonej alembikiem formalistycznych procedur, które każdą rzecz muszą opóźnić. Ta zasada nowa szybkiej pracy zwyciężyła tym razem. Nie małą rolę odegrał tu marszałek Sejmu, Daszyński, podkreślając, że ustać powinny w Sejmie „pewne maniere sejmowe poprzedniego”. Chodzi o odbudowanie zaufania do Sejmu w społeczeństwie, podniesienie szacunku dla twórczej pracy Sejmu nad potrzebami życia państwowego. Nie o to jednak idzie, czy incydent w komisji budżetowej został załatwiony. Idzie o to, że incydent ten świadczy, jak dalece dawni posłowie, „rutynowani” parlamentarzyści przywiązani są do dawnych zwyczajów, jak zazdrośnie czuwają, aby też nie stracić nic ze swej udziałności. Wszak zmiany regulaminowe otwierają możliwości polityczne, nie tylko zmieniają tryb postępowania. Stąd obawa przed zmianami, obawa tych ugrupowań, które na tych możliwościach politycznych mogłyby coś z swych wpływów utracić. Sejm — jak widać, oświadcza niby dobrą wolę w stosunku do pracy państwowej, cofa się jednak przed tem, co by było rzeczywistym ustępstwem z prerogatyw przywilejów. Czy znowu w grę tu wchodzi głębokie poczucie demokracji, w imię której się to odbywa? Jeśli demokracją zwie się gadulstwo, utrudnianie załatwiania pierwszorzędných spraw, formalistyka — to tak. Jeśli jednak demokrację pojmuje się, jako prawo do maksimum pracy i twórczości, rozwinięcie pełnych zdolności obywatela, to proceder formalistyczny dawnych zwyczajów ukaże się jako zaprzeczenie demokracji. Gdzież tu zresztą rzetelna troska o demokrację, gdy w tych wypadkach, gdzie chodzi o demonstrację przeciw zmianom regulaminowym, a więc gdzie chodzi o reformę systemu pracy parlamentu, dziwnym, a charakterystycznym zbiegiem okoliczności w głosowaniu łączy się zawsze endecja z opozycją lewicą!

\* \* \*

DZIŚ W DRUGIEJ „TURZE” WYBORÓW FRANCJA ZADECYDUJE OSTATECZNIE O SKŁADZIE SWEGO PARLAMENTU. Trudno stawiać horoskopy co do ich wyniku, kapłany wyborców są bowiem niezbadane. Według ostatnich doniesień, porażka lewicy w pierwszym głosowaniu, skłoniła jej przywódców, zwłaszcza radykałów i socjalistów, do zawarcia bloków technicznych w okręgach przy wyborach ściślejszych. Jeżeli bloki te dojdą do skutku, obraz ubiegłej niedzieli może się znacznie zmienić. Ratując swój nadwątlony stan posiadania, liderzy dawnego kartelu lewicy uczynią niewątpliwie wszystko, by osłabić zwycięstwo żywiołów umiarkowanych, osiągnięte przed tygodniem. Ale nawet, przy największych ich sukcesach w dniu dzisiejszym, nie wydaje się możliwym, by nowa Izba Deputowanych zesza z tej drogi, którą kroczyła poprzednio, obdarzając zaufaniem rząd koalicyjny pod kierunkiem Poincaré'go, jako niezastąpionego uzdrowiciela finansów i życia gospodarczego Francji. Jakkolwiek wypadnie ostatecznie wynik wyborów, nie ma powodu oczeki-

wać zmiany kursu polityki zagranicznej Francji, która spoczywa w ręku jednego z najdzielniejszych budowniczych pokoju Brianda, równie niezastąpionego w kierowaniu sprawami zewnętrznymi Francji. Złożonemu niemocą min. Briandowi, naszemu wypróbowanemu przyjacielowi i niezamordowanemu bojownikowi porozumienia narodów życzymy szybkiego powrotu do zdrowia.

\* \* \*

KRÓL AFGANISTANU, AMANNULLAH, PRZYBYWA WRAZ Z MAŁŻONKĄ SWĄ I ŚWITĄ złożoną z wysokich dygnitarzy swego rządu, do stolicy Polski. Młody monarcha azjatycki należy do tych władców Wschodu, którzy nie gardzą mądrością i doświadczeniami Zachodu. Pelen energii i rozmachu reformatorskiego, świadomy wielkiej roli, jaką ze względu na swe położenie geograficzne — pomiędzy imperjum Sowietów i imperjum Albionu — może odegrać Jego ojczyzna, zapragnął bliżej zetknąć się z kulturą Europy, by w jej twórczości znaleźć walory, których przeszczepienie na grunt Afganistanu, przyniosą narodowi Jego trwałe korzyści.

Nie wątpimy, iż podróż króla Amannullaha po wielkich ośrodkach europejskich, życzliwe przyjęcie, jakie wszędzie napotkał, i cuda techniki współczesnej w dziedzinie tworzenia dóbr materialnych, że warsztat wysiłku zbiorowego społeczeństw, dążących do lepszego jutra, natchną go do tem usilniejszej pracy cywilizacyjnej, jaką podjął w swoim kraju. Europa wprawdzie nie rozwiązała wielu problemów, tak starych, jak świat, ale w dorobku swego ducha i swej niezamordowanej pracy ma czem poszczycić się przed fatalistycznym Wschodem. Witamy serdecznie Dostojnych Gości w kraju naszym i żywimy nadzieję, że wizyta monarchy dalekiego nam, a budzącego się też do życia narodu, przyczyni się do utrwalenia węzłów szczerzej przyjaźni pomiędzy Polską a Afganistanem, przyjaźni tem trwalszej, że przyswieca jej niczem niezamącony ideał pokoju.

\* \* \*

DOBRE CHEĆI P. POSŁA BOGOMOŁOWA w kierunku pogłębienia stosunków pokojowych pomiędzy Z. S. S. R. a Polską mieliśmy już sposobność niejednokrotnie podkreślać. W czasie swego pobytu w Warszawie p. Bogomołow złożył dowody, iż nie brak mu inicjatywy ani taktu, by choć w skromnych rozmiarach, lecz konsekwentnie przyczynić się do utrwalenia normalnych stosunków sąsiedzkich pomiędzy Unją Sowiecką, a Polską, zwłaszcza w dziedzinie ekonomicznej i kulturalnej. To też szczerze wynurzeń p. posła Bogomołowa, zawartych w wywodzie, udzielonym korespondentowi Pat'a, nie ulega dla nas wątpliwości. Przyjmujemy w jak najlepszej wierze optymizm przedstawicieli Sowietów w Polsce na temat dalszego rozwoju współzycia pokojowego Polski z Z. S. S. R., które zdaniem p. Bogomołowa, stanowi gwarancję pokoju powszechnego. Szkoda tylko, że ten optymizm ma charakter wybitnie subiektywny i nie jest bynajmniej podzielany przez zwierzchników p. Bogomołowa w Moskwie, wobec których nawet p. Cieczerin okazuje się bezsilny. „Hofkriegs-rat” Trzeciej Międzynarodówki nicwiele sobie robi z pacyfistycznych poczynań niektórych dyplomatów sowieckich, traktując je w najlepszym wypadku jako manewr taktyczny „pour epater la bourgeoisie”. I jeżeli wysiłki p. Bogomołowa oraz innych usposobionych pokojowo emisariuszów sowieckich „in partibus infidelium” nie osiągną zamierzonego skutku, to przyczyny tego niechaj szukają oni przedewszystkiem w dyktaturze „kominternu”, którego Narkomindiel jest tylko posłusnym wasalem.



„ZŁOTY CIELEC” — znenawidzony przez bolszewików fetysz kapitalistyczny, od którego odżegnano się na przestrzeni 10 lat, kilometrami drukowanych argumentów w sowieckich pismach, powołując w charakterze opiniodawcy każde słowo Marksa i Lenina, ów nieszczęsny kruszec „podłego złota, które rządzi światem” — zapanował wszechwładnie i niepodzielnie nad Sowietami! Nie przypuszczali chyba nigdy komuniści, że tak szybko i tak radykalnie zmuszeni będą do prowadzenia swej światowej polityki raczej złotem, aniżeli wybuchowym materiałem swej agitacji. W 1921 roku ogłosiły Sowiety światu radosną nowinę: „My nauczymy świat nowych metod gospodarczych! Zdobyliśmy doświadczenie, którem pragniemy podzielić się z proletariatem całego świata!”... I oto jak wyglądają „doświadczenia” i „nowe metody”... Sowiety miotają się w bezsilnych pragnieniach nawiązania stosunków bodaj już tylko handlowych

z światem, proponują koncesje, oddają w dzierżawę najbogatsze ongi tereny eksploatacyjne... Nic z tego. Po doświadczeniach 10-letnich nikt niema ochoty zawierania umów z Sowietami, które w każdej chwili gotowe są stworzyć jakiś „spisek”, w rodzaju owego z Zagłębia Donieckiego, aby raczej zważyć winę na „speców”, aniżeli przyznać się przed swym krajem do kompletnej niezdolności gospodarowania ongi bogatym i urodzajnym krajem. Już tylko za cenę zgóry deponowanego złota gwarancyjnego, chcą rozmawiać z Sowietami banki amerykańskie, dławiące się wszakże nadmiarem własnych finansów... Ale tego złota jest coraz mniej w Sowietach, sprzedaje się więc i brylanty carskie i obrazy bezcenne z Ermitażu... Desperacja zgranych graczy nie ma umiaru... Wkrótce sprzedadzą własne „niezbite” argumenty...

## PO STABILIZACJI — NOWY ZWROT

W polityce gospodarczej i ogólnej Sowietów zaszedł nieoczekiwany zwrot. Zaznacza się on szeregiem represyj względem zamożniejszej części chłopstwa i oficjalnym proklamowaniem walki z burżuazją wiejską, t. j. kułakami, których opozycja Trockiego, Zinowjewa i innych wskazywała jako przyszłych pogromców komunizmu i ustroju sowieckiego. Najwyższe władze partyjne odbyły w Moskwie doniosłe narady, a główne ich wyniki podali do wiadomości w swych przemówieniach Bucharin i Stalin. Streszczają się one w programowym przesunięciu polityki sowieckiej „na lewo” przedewszystkiem w stosunku do zamożniejszych żywiołów chłopskich, a następnie i w innych punktach. Dygnitarze sowieccy z naciskiem zapewnniają, że zwalczając się będzie tylko kułacką część, a bynajmniej nie całość chłopstwa, że biedniejsze jego odłamy będą otoczone ze strony rządu opieką choćby nawet z uszczerbkiem interesów miast. Cóż jednak wynika z owych zapewnień? To chyba, iż chłop będzie miał ze strony władz spokój, dopóki nie zazna nieco zamożności w tym bowiem razie ulegnie prześladowaniu, jako „burżuj” wiejski. Czyż warto w tych warunkach pracować ponad pewne minimum, umożliwiające egzystencję?

Już za rządów Lenina chłop rosyjski postawił sobie powyższe pytanie i rozwiązał je w sensie ograniczenia swej pracy i biernego oporu. To zmusiło rząd sowiecki do kompromisu, do rozpoczęcia „Nepu”. Finansjera zachodnia, która domagała się od swych rządów nawiązania z Moskwą normalnych stosunków, powitała „Nep” jako swe zwycięstwo i potwierdzenie swych przewidywań. W jej oczach „Nep” był już tą naturalną drogą, która doprowadzi Sowdepję z powrotem do kapitalizmu. Kurs Stalina z jego głośnym hasłem: „twarzą do wsi”, zdawał się definitywnym, jakkolwiek nieoficjalnym, zerwaniem z utopjami komunistycznymi i przystosowaniem gospodarki państwowej przede wszystkim do potrzeb rolnictwa i do interesów chłopskich. Komunizm mógł sobie do czasu wege-

tować w miastach, jako kapitalizm państwowy na benefis panującej partji.

Obroncy i sympatycy Sowietów głosili po Europie i Ameryce, że już wielki czas zerwać z uprzedzeniami co do obecnej Rosji, że jej komunizm jest urzędowym szyldem i błagą, że faktyczny jej ustroj jest wprawdzie inny, niż na Zachodzie, lecz najzupełniej możliwy do utrzymywania stałych stosunków nie tylko gospodarczych, lecz nawet kulturalnych, że same te stosunki staną się najskuteczniejszym środkiem do tego, aby wyciągnąć ogromne państwo z jego obecnego odosobnienia i przyspieszyć jego powrót do udziału w ogólnej cywilizacji.

Samy bolszewicy pragnęli, aby w świecie zagranicznym zapanowała o nich taka właśnie opinia i odpowiednio urządzili jubileusz swych rządów. Miał on świadczyć o utrwaleniu ustroju, który osiągnął pożądany stopień solidności i stoi otworem dla handlu zewnętrznego... i pożyczek.

Niebawem wszakże wystąpiły na tle znanego sporu pomiędzy przywódcami sowieckimi znamienne objawy, które raz jeszcze rozwiały złudzenia finansjery i rzuciły jaskrawe światło na centralny punkt jej przeoczeń i błędów. Tym punktem jest istnienie i nieograniczony despotyzm partji komunistycznej, która nie wyrzekła się żadnego ze swych absurdalnych dogmatów i pomimo widocznych niepowodzeń chce je gwałtem wprowadzić w życie. Duch fanatycznej sekty, panującej w partji jest mocniejszy od każdego z jej przywódców i pozostawali w grubym błędzie ci, którzy sądzili, że Stalin chce i może przy zachowaniu pewnych form i pozorów zlikwidować *de facto* komunizm. Byłoby to możliwe jedynie pod warunkiem zniszczenia lub przynajmniej wielkiego osłabienia samej partji komunistycznej, a o tem żaden z jej przywódców nie waży się myśleć. Drogo kosztowało Stalina jego rzekome zwycięstwo; rozesłał on wprawdzie dawnym trybem swych oponentów po miejscowościach „mniej i więcej oddalonych”, lecz w rzeczy zasadniczej ustąpił swym przeciwnikom i stał się wykonawcą ich żądań. Znalazł się skutkiem tego w położeniu bez wyjścia, gdyż przy ogólnej biedzie pogodzenie wymagań robotniczych i chłopskich jest rzeczą prawie niemożliwą. Gdyby chodziło tylko o



ich realne interesy, możnaby jeszcze szukać kompromisów, lecz sekciarskie postulaty komunistów doprowadzają do absurdu wszelką planową gospodarkę. Niedarmo lord Grey określił porządki rosyjskie jako „antigospodarcze”.

Obecnie rząd sowiecki rozpoczyna akcję uśmierzenia opozycji wiejskiej, wyszukuje i zabiera ukrywane zapasy zboża, tudzież prześladowa i rujnuje chłopów-kułaków. Nie wydaje się prawdopodobnym, iżby mu się udało odgradzić moralnie tych ostatnich od średniej masy chłopskiej, raczej zmieć należy, że ją swemi bezwzględniemi środkami rozdrażni i zwróci przeciw sobie. Znosi się więc na powtórzenie owej wojny miasta i wsi, a właściwie sowieców i wsi, jaka rozgrywała się za Lenina. Niepodobna przypuszczać, iżby Stalin uporał się zwycięsko z zadaniem, przed którym musiał w swoim czasie cofnąć się Lenin, należy więc przewidywać, że przeciw Sowietom stanie ponownie zbita masa chłopska.

W każdym razie niema już mowy ani o utrwaleniu ustroju, ani o bliskim porozumieniu z kapitalizmem i światem zachodnim. Ukazuje się nowe ognisko burzliwe i krwawego pasma, objętego nazwą okresu sowieckiego. Dopóki rządy nad Rosją spoczywają w rękach obecnej partji komunistycznej, która właściwe zadania państwowe podporządkowuje celom i widokom rewolucji powszechnej, trudno mówić o ustaleniu położenia wewnętrznego w Z. S. S. R. lub o normalnych stosunkach Unji Sowieckiej z zagranicą.

T. Gruczeński.

## AFGANISTAN NA SZACHOWNICY AZJATYCKIEJ

Jedno z pism zamieściło przed paru dniami depesze z Moskwy, jakoby rząd sowiecki zamierzał zaproponować królowi Afganistanu, w czasie jego pobytu w Moskwie, wybudowanie linii kolejowej z Taszkientu do Kabulu, to znaczy do stolicy państwa, nie posiadającego jak dotychczas ani jednego kilometra kolei. Budowę tę mieliby wykonać — wedle brzmienia depeszy — inżynierowie sowieccy, a koszty budowy byłyby podzielone proporcjonalnie pomiędzy oba państwa.

Propozycja ta jeśli zostanie uczyniona królowi Aman-Ullahowi, będzie powtórzeniem innej, zgłoszonej już przed paru laty przez rząd sowiecki na dworze afgańskim. Wówczas chodziło o budowę drogi samochodowej Kabul — Termez, którą rząd Afganistanu postanowił ostatecznie wybudować, udzielając jednak koncesji w danym wypadku nie zgłaszającemu się o nią sąsiadowi z północy lecz... odległym Włochom.

Ten drobny przykład szczególnej na pierwszy rzut oka decyzji odzwierciedla zarówno sytuację polityczną dzisiejszego Afganistanu, jak i daje nam pojęcie o rozumnej polityce, jaką umie poprowadzić młody jego władca. Afganistan jest typowym państwem buforowym pomiędzy Z. S. R. R. a brytyjskimi po-

siadłościami w Indostanie, stanowiąc jednocześnie jedyną niemal możliwą do przebycia drogę dla ewentualnej ekspansji propagandystycznej trzeciej międzynarodówki, usiłującej dotrzeć do tej najpotężniejszej z kolonij W. Brytanji. Nie będziemy chyba dalecy od prawdy, przypuszczając, że Z. S. R. R. zdaje sobie dokładnie z tego sprawę i nawiązuje z Afganistanem stosunki jaknajbliższe, czego wyrazem jest traktat o nie-agresji i neutralności, łączący oba państwa od r. 1926. Poza oficjalnie podpisanym traktatem politycznym i rokowaniami o traktat handlowy, nawiązanymi już od dość dawna, szuka też Z. S. R. R. zbliżenia z Afganistanem na innym gruncie, organizując lotnictwo afgańskie, złożone z 35 aparatów, goszcząc w Moskwie grupę pilotów afgańskich i t. p. Zdaje się, że te istotne zamiary północnego sąsiada są należycie oceniane w Kabulu, skoro prasa tamieczna podkreśliła niedawno, że gdyby ruch komunistyczny zdołał założyć na terytorjum Afganistanu podstawę operacyjną dla swej propagandy na terytorjum Indji, to wkrótce mógłby zadać poważny cios panowaniu angielskiemu nie tylko na półwyspie lecz w całej Azji.

To niebezpieczeństwo dobrze sobie uświadamia rząd W.-Brytanji, sytuację jednak utrudnia mu ta okoliczność, iż do niedawna jeszcze Anglja była „wrogiem historycznym“ Afganistanu, który z zależności swej od W.-Brytanji wyzwolił się dopiero w r. 1921, aż do tego czasu będąc państwem wobec niej lennem. Obecnie wpływy angielskie na terytorjum Afganistanu zewnętrznie nie są duże, niemniej jednak posiada Anglja poważny atut w ręku, jedyna bowiem jak dotychczas droga dla importu zagranicznego prowadzi przez terytorjum Indji od portów oceanu Indyjskiego do dwóch punktów granicznych i niedostępnej przełęczy Khybru i drogi z Kandaharu do Quetty, obu pilnie strzeżonych przez wojska indyjskie.

Polityka W. Brytanji w stosunku do Afganistanu — z uwagi właśnie na jego charakter państwa, buforowego — polega obecnie na wzmocnieniu niezależności afgańskiej; wysiłki te jednak natrafiają na wielkie przeszkody, głównie ze względu na dawne metody polityki angielskiej w Afganistanie, które bynajmniej nie sprzyjały szczeniu się w tym kraju sympatyj probrytyjskich.

W tych warunkach formuje się polityka dzisiejsza tego państwa, które swą niezawisłość polityczną zdobyło dopiero przed siedmiu laty, odrzuciwszy protektorat wszechpotężnej na gruncie azjatyckim W. Brytanji. Z natury rzeczy polityka ta nie zaznaczyła się jeszcze dość wyraźnie w opinii europejskiej, by można ją było sprecyzować z całą ścisłością. Zdaje się jednak, że rozumny i przezorny kierownik tej polityki bierze *cum grano salis* wszystko, cokolwiekby mógł mu sugerować potężny sąsiad północny, zwłaszcza mając na pamięci usunięcie dynastycznych władców sąsiedniej Buchary i Chiwy i wprowadzenie „rządów ludu“ w obu tych sowieckich dziś republikach. Bardziej ufać się zdaje narodowi, nierównie bliższym mu pod względem rasowym i wyznaniowym, a więc w pierwszym rzędzie Persji i Turcji, jak tego dowodziłoby np. zaproszenie



do opracowania prawodawstwa w Afganistanie dyplomaty tureckiego Mehmed Dżemada lub wysłanie 70 słuchaczy na kursy wojskowe do Turcji. Ta chęć zbliżenia się z pokrewnymi państwami mahometańskimi tembardziej wpada w oczy, że np. z innym sąsiadem bezpośrednim jakim są Chiny, wymiana stałych poselstw jeszcze nie nastąpiła.

Mają natomiast swych przedstawicieli w Kabulu, prócz państw już wymienionych, Niemcy, Francja i Włochy. Rzesza przysłała swych instruktorów wojskowych, zatrudnionych w sztabie; prace archeologiczne na terytorjum Afganistanu toczą się pod kierownictwem francuskim, Włosi wreszcie ubiegają się o dostawy dla reformowanego obecnie pod kierunkiem tureckim wojska.

Tyle narazie dałoby się powiedzieć o młodym państwie, wysuwającym się dopiero na szachownicę azjatycką. Kierownik jego, obdarzony pełnem zaufaniem grupy reformatorów, stanowiących otoczenie królewskie, rozgląda się dopiero i bada zbliżka stosunki na gruncie europejskim, kierując się mądra wschodnią zasadą głębokiego namysłu, jaki poprzedzić winien każde posunięcie.

*St. Poraj*

## LEGENDA O POTĘDZE ISLAMU

Czy prawdą jest, iż islam reprezentuje do dnia dzisiejszego taką siłę, która w pewnej chwili mogłaby zjednoczyć wszystkich wyznawców proroka, celem obrony przed nieprzyjaciółmi? By odpowiedzieć na pytanie, warto przypomnieć sobie pewne fakty historyczne. Do czasu ostatniej wojny światowej w ciągu stu lat Europa odbiła od wyznawców Islamu Grecję, Serbję, Rumunję, Bułgarję, Bośnię i Hercegowinę, kraje zakaukaskie, Algier, Egipt, Tunis, Sudan, Krete, Marokko, Trypolis. Większość podbojów zrealizowano wtedy, gdy islam był silniejszy niż dziś, a Europa — słabsza.

Przed 80 laty fanatyzm religijny na wschodzie reprezentował jeszcze pewną siłę, a główna opoka islamu — Turcja była wielkiem mocarstwem. Z drugiej strony technika wojskowa nie stała na tak wysokim poziomie jak obecnie i dlatego różnica między uzbrojeniem Europejczyków i muzułmanów nie była tak znaczna. Warto również zauważyć, że w ciągu omawianego okresu, za wyjątkiem powstania Sepojów, które miało jedynie nawpół muzułmański charakter — nie było ani jednej znaczniejszej rewolty w krajach podbitych orężem europejskim. Powstawali Serbowie i Bułgarzy przeciw Turcji, powstawali Włosi przeciwko Austrii, Irlandczycy przeciw Anglii, wreszcie Albańczycy przeciw tej samej Turcji; lecz ani w Algierze po roku 1847, ani w Egipcie lub Tunisie po r. 1882, ani też w Sudanie po r. 1899 — nic podobnego się nie zdarzyło.

W jaki sposób wytłumaczyć sobie to zjawisko? Chyba nie „fatalizmem“, który nie przeszkodził Albanji powstawać kolejno raz po raz w latach 1908, 1909, 1910. Szukać tu należy raczej innych przyczyn. Wyznawcy proroka doszli do przekonania, iż walka przeciw Europejczykom jest bezowocna. Wojna sta-

ła się kwestją nadzwyczaj skomplikowanej organizacji technicznej, której poddać może jedynie państwo bogate, i znajdujące się na wysokim poziomie kultury technicznej. Powtóre — Koran jako spoidło polityczne spotkał los taki, jak wszystkie inne religie: Przestał być magnesem politycznym.

Do czasu wielkiej wojny jednak panowała w Europie legenda o potężnej sile islamu. Legenda ta pojawiła się dopiero wtedy, gdy Turcja, przystąpiwszy do wojny po stronie państw centralnych ogłosiła „świętą wojnę“, wzywając wszystkich wiernych w Marokku, Algierze, Tunisie, Egipcie, Sudanie, Kaukazie i Indji do zrzucenia jarzma Gjaurów. Jakież jednak był rezultat tego wezwania? Żaden. Zdziwiał natomiast zapal, z jakim algierscy „goumiers“ — również mahometanie — walczyli na polach Flandrii w szeregach francuskich przeciw sprzymierzeńcom Sultana i Kalifa.

Brzegi Kanału Sueskiego były obsadzone przez bataljony hinduskich mahometan, które zatopiły oddziały tureckie, usiłujące sforsować kanał. Na jednym odcinku pomagał im nawet oddział egipskiej lekkiej artylerji, składający się również z samych mahometan. Aga Khan, przywódca mahometańskich Hindusów, — wstąpił demonstracyjnie jako zwykły szeregowiec do armji angielskiej i t. d.l. wreszcie skończyła się ta manifestacja politycznej jedności całego islamu tem, iż władca Mekki-Musseja zawarł przymierze z Anglią, odłączył się od Kalifa wiernych i wypowiedział Turcji wojnę.

Im dalej, tem widoczniejszem się staje, iż religia przestała odgrywać rolę cementu politycznego w stosunkach międzynarodowych. Doskonale zrozumieli tę prawdę Turcy. Zniesienie kalifatu konstantynopolańskiego jest przede wszystkim manifestacją zupełnej bezużyteczności politycznej panislamizmu. A o tej sprawie właśnie Turcy mogą sądzić najlepiej. Od najdawniejszych bowiem czasów instytucja kalifatu znajdowała się w ich rękach i Turcy wielokrotnie w ciągu stuleci próbowali ją wykorzystać jako sztandar polityczny celem mobilizacji innych narodów mahometańskich dla podtrzymania potęgi otomańskiej. Niegdyś środek ten pomagał, lecz w ciągu ostatnich dziesiątków lat Turcy, doszli do innych wniosków. Jeśli byli kalif, według mniemania patriotów tureckich okazał się nie- lojalnym — można było łatwo znaleźć innego kandydata, a gdyby nawet dynastia Osmanów była podejrzana — nie trudno było postarać się o inną dynastję. Przy dzisiejszym autorytecie Kemala-paszy uznałby ją olbrzymi odłam muzułmanów, jako spadkobierczynię dawnych kalifów. A więc można było zachować tę starodawną instytucję bez żadnego ryzyka. Oczywiście w tym celu należałoby się pogodzić z pewnymi kompromisami. Lecz ta niewygodność nie przeszkadzałaby Turkom w modernizowaniu ich życia, jak nie przeszkadza Włochom współczesnym Watykan. Turcy są narodem ostrożnym i wyrachowanym. Jeżeli zatem uważałby, iż kalifat posiada jakąś wartość polityczną, łatwo przystosowałby się do tego anachronizmu. Lecz widocznie, doszli oni do przekonania, iż cała ta instytucja nie jest warta nawet tej drobnej ofiary.



Jakie będą dalsze rezultaty zniesienia kalifatu trudno przewidzieć. Z dotychczasowego biegu wypadków wnosić można, iż kwestja trwałego ustanowienia nowego kalifatu, z powodu wielkiej stosunkowo ilości pretendentów do tronu zastępcy proroka — jest sprawą niezmiernie trudną do rozwiązania. Lecz jakkolwiek bądź kwestja ta się skończy, — jedno można stwierdzić z całą pewnością: autorytet kalifatu, utracony przed dziesiątkami lat — już nie powróci. Prawdziwe pojęcie „kalifa“ jest nierozłącznie związane z wyobrażeniem potęgi świeckiej. Spoglądając wstecz ku ubiegłym wiekom widzimy, iż kalifem był zawsze władca wielkiego i potężnego państwa. Lecz ani Kair, ani Mekka, którą Ibn-Saud chętnie widziałby jako rezydencje nowego kalifa — tej roli odegrać nie mogą. Słowem, ktokolwiek odziedziczy tytuł kalifa nie zdoła on już rozjaśnić gasnącej gwiazdy kalifatu. Stąd wniosek, że islam, jak każda inna religja, znajdująca się na tym samym poziomie, jest oczywiście wielką siłą moralną, lecz przestała być potężnym czynnikiem politycznym, jakim była w ciągu stuleci.

L. Ro-n.

## W DŻUNGLI PARAŃSKIEJ

Zrzucić z siebie odrazu skutki stu pięćdziesięciu lat niewoli politycznej i zrozumieć własną państwowość, jakoteż obowiązki z tego powodu nad każdym z nas ciężące, to rzecz tak trudna, że nieliczne względnie jednostki zdobyły się dotąd na taki stopień obywatelstwa, aby wyrzec się drobnych ambicji i ambicyjek, na rzecz Państwa Polskiego, tak szybko dążącego do całkowitego odrodzenia politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Jeżeli tu w kraju musimy tak usilnie walczyć o uznanie prestiżu Rzeczypospolitej ze strony rodzimego kołtuństwa i nad miarę rozpanoszonego warcholstwa, to o ileż trudniej, rzecz tę osiągnąć wszędzie, niemal na wychodźstwie, gdzie i z natury rzeczy stosunek do Państwa Polskiego nie jest tak bliski i jedynie na dobrej woli i poczuciu obowiązku obywatelskiego oparty. Polska i jej tak doniosłe sprawy daleko, a własne ciasne powórko tuż pod nosem.

Przed odzyskaniem niepodległości wytworzył się wszędzie na wychodźstwie cały szereg wielkości miejscowych, gotowych służyć Ojczyźnie, a posiadających we własnym mniemaniu i swoich najbliższych wszelkie dane po temu, aby stać się przedstawicielami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. To też istniał cały szereg kandydatów już nie tylko na konsulów, gdyż to rozumiało się samo przez się, ale nawet na posłów, a przede wszystkim ambasadorów, mających wszelkie warunki do poniesienia tej „ofiary“ dla dobra Ojczyzny.

Gdy zaś Państwo Polskie, stojąc przed jednym z najtrudniejszych zadań, jakie ma do spełnienia, zaczęło obsadzać urzędy poselskie i konsularne ludźmi dobranymi i ciągle dobieranymi, aby składowy naszych placówek był możliwie najbliższy i najbardziej celowi odpowiadający, powstało rozczarowanie i niezadowolenie, wyrażające się nieraz w sposób drastyczny.

Wszakże w Stanach Zjednoczonych Am. Półn. umiejętna, obywatelska, dobrze zawodowo pojęta praca wydała jak najlepsze wyniki. Tam współpraca konsulatów z wychodźstwem weszła na jaknajlepszą drogę ku pożytkowi wychodźstwa przedewszystkiem, a również i interesu państwa. Wychodźstwo północno-amerykańskie, bardziej wyrobione, zrozumiało korzyści, wynikające z powstania niepodległej Polski, posunęło się do daleko idących ofiar na rzecz tego najwyższego dobra posiadania własnej państwowości, dla której czuje coraz większy szacunek i której ochętnie podporządkowuje własne względnie drobne sprawy lokalne.

Inny objaw notujemy w Ameryce Południowej, ściślej mówiąc w Brazylii, a szczególnie w Paranie i jej stolicy Kurytybie. Nie wychodźstwo polskie w Paranie ma pracować dla dobra i wielkości Polski, lecz odwrotnie Polska ma istnieć dla wielkości nie całego wychodźstwa, bo to się samo przez się rozumie, ale dla zadowolenia ambicji klik czy jednostek rozumujących tak: Uznamy łaskawie ustanowiony urząd konsularny i przysłanego na kierownika urzędu człowieka, o ile będzie on narzędnym w naszych rękach i będzie słuchał naszych rozkazów. Uznamy pracę kulturalno-oświatową, o tyle, o ile wszelkie na to przeznaczone środki zostaną oddane nam do rąk, do użycia wedle naszego uznania, i bez żadnej zgola kontroli. Będziemy współpracować z urzędem konsularnym o tyle, o ile kierownik urzędu będzie odbierał dyrektywy nie od swojej władzy centralnej, ale od nas, ulegając nam w całej rozciągłości i bez żadnych zastrzeżeń. W przeciwnym razie biada mu, biada całej jego robocie, której będziemy się przeciwstawiali ze wszystkich sił nie cofając się nawet przed kompromitacją wobec społeczeństwa miejscowego.

Jesteśmy świadkami wysoce gorszącej walki zbuntowanej przeciwko Państwu Polskiemu kliki, — walki prowadzonej przeciw kierownikowi konsulatu R. P. w Kurytybie i to prowadzonej nie tylko na łamach pism polskich, ale, co gorsza, nawet na łamach pism brazylijskich, co już pachnie zaprzęciem sprawy polskiej dla załatwienia własnych ściśle prywatnych porachunków. Pożalowania godne to z punktu widzenia państwowości polskiej widowisko jest tembardziej naganne, że wciąga się nazwisko Marszałka Piłsudskiego w Jego rzekomo imieniu występując przeciwko autorytetowi Państwa Polskiego, nad którego zbudowaniem Marszałek tak usilnie właśnie pracuje. Wiadomo nam też nadto dobrze, jak tu w kraju w okresie wyborów nadywano nazwiska Marszałka w celach bałamucenia wyborców, a zupełnie to samo dzieje się obecnie w Kurytybie, gdzie rzekomo w imię ideałów Marszałka pewne żywioły podkopują prestiż Państwa Polskiego, stając się zaprzęciem nibyto reprezentowanych przez siebie haseł.

Jak tutaj w kraju mamy ludzi, którzy interes partji stawiają wyżej ponad interes i dobro Państwa, tak i tam pewne koła pracują skutecznie nad upadkiem prestiżu Państwa Polskiego tylko dlatego, że ich osobistym ambicjom czy interesom praca dla do-

robie, a również i interesu państwa. Wychodźstwo północno-amerykańskie, bardziej wyrobione, zrozumiało korzyści, wynikające z powstania niepodległej Polski, posunęło się do daleko idących ofiar na rzecz tego najwyższego dobra posiadania własnej państwowości, dla której czuje coraz większy szacunek i której ochętnie podporządkowuje własne względnie drobne sprawy lokalne.



bra Polski nie dogadza. Na szczęście zła ta i przewrotna robota zaczyna wywoływać zasłużone oburzenie i krytykę, a nawet wyraźny sprzeciw ze strony różnych organizacyj miejscowych, rozumiejących tę grę tak dla wszystkich w niej zainteresowanych szkodliwą. To też można mieć nadzieję, że poważna interwencja tak wytrawnego dyplomaty, jakim jest obecny poseł R. P. w Rio de Janeiro, wyda spodziewane owoce i okiełzna te prawdziwie anarchistyczne żywioły, których robota zasługuje z jednej strony na najwyższą naganą, a z drugiej na zastosowanie radykalnych i energicznych środków zaradczych, któreby tę skandaliczną wręcz sprawę ostatecznie zlikwidowały.

*Wojciech Szukiewicz.*

## EPOKOWY WYNAŁAZEK W ROLNICTWIE GILZOGRANUM

*(Gilza naczyniem do sadzenia wszelakich roślin).*

W Europie nastaje nowa era, albowiem rozpoczyna się niebywała nadprodukcja zboża, dzięki wprost sensacyjnym odkryciom, które wprowadzą rewolucję w dotychczasowe systemy gospodarcze.

Niemcy, Anglia i Włochy, zastosowawszy nowe metody uprawy roli i jak najracjonalniejsze kulturowanie roślin podczas wegetacji, otrzymują przeciętnie z jednego ha 173 q zboża. Podstawą nowych metod kultury rolnej jest sadzenie wszelakich zbóż i odpowiednie ich pielęgnowanie. Dotychczasową siejbę na Zachodzie zamienia się na sadzenie, a nawet przeplancowywanie (przesadzanie).

Trzeba tu zauważyć, że aczkolwiek praca taka jest niesłychanie mozolna i wymaga ogromnej ilości rąk, to mimo wszystko przy takich rezultatach opłaca się sowing.

We Francji znowu, dzięki nowemu wynalazkowi pod nazwą „Plantoir Distributeur“, plony rolne, jak uzasadnia autor poważnego artykułu (vide: „Je sais tout“ — octobre 1927), zostaną powiększone co najmniej o 80.000.000 kwintali zboża, które przy dzisiejszych cenach przedstawia wartość około 16 miliardów franków, stanowiących już cały budżet państwa.

Wobec tak sensacyjnych odkryć i niebywałych rezultatów z zastosowania nowych metod w uprawie roli nasi rolnicy muszą czynić ogromne wysiłki, aby sprostać tym rewelacyjnym i oszałamiającym wynikom.

Na szczęście i u nas pojawił się epokowy wynalazek w rolnictwie pod skróconą nazwą: „Gilzogranum“ (gilza naczyniem do sadzenia wszelakich roślin); preparuje się ono z mieszaniny: lajna krowiego, zmieszanego z gęstą gnojówką, gliny i tłustego czarnoziemu w odpowiednim stosunku procentowym (czasem można dodawać nieco wapna).

Wielkość gilzogranów wyrabia się o różnej średnicy i różnej wysokości, zależnie od gatunku i wielkości nasienia danej rośliny. Najmniejsze jednak gilzogranu według zdania wynalazcy winny być o średnicy wewnętrznej około 3 cm., a wysokości 4 cm.

Materiał, z jakiego wyrabiają się gilzogranu, jest doskonałym nawozem na wszelkie gatunki gleb i dla wszelakiego rodzaju roślin, a ponadto odznacza się podwójnymi zaletami:

1) prędko schnie i jest trwały, a mimo to, zasadzone gilzogranum w wilgotną ziemię, szybko się rozpada oraz z nią łączy i lasuje;

2) można zeń wyrabiać gilzogranu w każdym czasie i swobodnie przechowywać je czas dłuższy.

Ziemia do napełniania gilzogranów winna być jaknajlepsza (czarnoziem sypki, próchnica, ogrodowa it. p.) i zmieszana już uprzednio z odpowiednimi nawozami sztucznymi.

Ponieważ wiedza rolnicza stwierdziła, że roślina czerpie z ziemi 3 proc. pożywienia, a 97 proc. z atmosfery, zatem nietrudno jest dzięki temu odkryciu, dać każdej roślinie nietylko wymaganą ilość i jakość nawozów sztucznych, słowem — pożywienia, ale nawet zwiększoną, aby każda roślina mogła się tem lepiej krzewić i rozrastać i tym sposobem powiększać wielokrotnie dotychczasowe plony rolne, polepszając je zarazem pod względem jakościowym.

Do wyrobu gilzogranów, napełniania ich ziemią i sadzenia do niej odpowiednich nasion możemy zastosować z pewnemi modyfikacjami jedną z trzech istniejących maszyn. Gotowe gilzogranu nietrudno będzie powsadzać do zoranej czy skopanej i oczyszczonej całkowicie od chwastów ziemi w odległościach dowolnych zapomocą specjalnie skonstruowanej maszyny, której plan w zarysie wynalazca posiada. Będzie to praca dokładna, planowa, szybka i niezawodna.

Gilzogranum pozwoli już rolnikom zasadzać całe obszary i specjalnie pielęgnować je przez najmne siły robocze, płacąc im dobrze, ale zapłate każdy właściciel będzie czerpał z pracy rak robotnika, notabene niecieężkiej, zdrowej i przyjemnej (wielokrotne pielienie i wspanielanie ziemi podczas wegetacji), bo śmiało można twierdzić, że w ciągu roku normalnego, jeden ha da z pewnością co najmniej 55 kwintali zboża, gdy tymczasem dzisiaj osiągają przeciętnie rolnicy od 10—15 q. zboża z jednego ha. Wynalazek ten jest znamieny jeszcze tem, że można nawet przyśpieszać wegetację i dojrzewanie wszelkich roślin, albowiem do roli można wsadzać już kiełkujące, czy też wzeszłe rośliny.

Każdy rolnik, stosując w praktyce gilzogranum, korzysta bardzo dużo, albowiem nie potrzebuje się troszczyć o użyźnianie ziemi czy to nawozami sztucznymi, czy też nawet naturalnymi, lecz swoją umiejętność i pracę skieruje do jak najlepszej orki i oczyszczania gleby z wszelkich chwastów, a ponadto czyni wielkie oszczędności w nasieniu, bo na jeden ha wyradza maximum 10 kilogramów ziarna, a dzisiaj tego ziarna wysiewa przeciętnie 150—200 kilo. Prócz tego nie marnuje się nawozu, albowiem wszystek idzie na doskonałe użyźnianie ziemi, przeznaczony wyłącznie dla roślin użytecznych, a wszelkie chwasty są tych nawozów pozbawione.

Wynalazcą „gilzogranum“ jest inicjator i niezmordowany propagator nowego, wyższego i lepszego sposobu gospodarowania — spółdzielni rolnowo-wytwórczych, Jan Kwieciński, b. dyrektor gi-



mnazjum i autor kilku książek i broszur z tego zakresu.

Wynalazek zaiste epokowy i łatwy do zrealizowania w całej swojej doniosłości i okazałości.

Skonstruowanie maszyny do wyrabiania gilzogramów jest rzeczą nietrudną, ale zawsze upłynie pewien czas, zanim taka maszyna zostanie wytworzona i całkowicie przystosowana do nowego wynalazku.

Ponieważ nie idzie tu o estetyczny wygląd gilzogramów, a tylko o jak najlepsze przystosowanie ich do potrzeb rolnictwa, można wyrabiać je narazie ręcznie i również ręcznie zasadzać, bo praca taka stokrotnie się opłaca.

Wszystko powyższe przemawia bardzo za tem, abyśmy nie zwlekając zabrali się energicznie do sadzenia zbóż narazie z pomocą dzieci i młodzieży szkolnej na dziesiątkach, a nawet setkach tysięcy

hektarów ziemi (50 proc. = 1.800.000 młodocianych rąk może zasadzić 500.000 ha w ciągu maximum 30 godzin na kwadracikach o boku 25 cm.) i specjalnie pielęgnowali sadzone zboża przez najemne siły robotnicze, bo ten obszar da minimum 20.000.000 kwin-tali zboża czystej nadwyżki.

Organizując i wcielając w życie taką pracę, usuniemy nie tylko bezrobocie, lecz zmartwychwstała Ojczyznę tak wzmocnimy gospodarczo i spotęgujemy siłę nabywczą przeszło 70 proc. obywateli kraju, że dopiero wówczas można z pewnością oczekiwać odrodzenia we wszystkich przejawach życia gospodarczo-socjalno-państwowego, ponieważ praca taka oraz jej wyniki dotrą do przyczyny zła i wprowadzą prawdziwą sanację.

Pamiętajmy wreszcie wszyscy: kto pomaga w rozwoju rolnictwa — pomaga sobie.

Jan Strugiński.

# „GŁOS PRAWDY” LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

**Kazimierz Przerwa Tetmajer laureatem nagrody literackiej m. Warszawy.**

Kazimierz Przerwa Tetmajer, którego liryki płoną blaskiem najpiękniejszej świetności w pośród całej poezji polskiej, poeta, jakiego od czasów Słowackiego nie wydała nasza ziemia, wielki pisarz i piewca ludu gór, nieśmiertelny Twórca Skalnego Podhala, to jest poezji, jakiej nie było w prozie i prozy jakiej nie znała dotąd poezja nasza otrzymał za rok 1928 nagrodę literacką Warszawy.

Przyznanie tej nagrody H. P. Tetmajerowi okrywa chwałą młodą fundację literacką miasta, ukazując młodym pisarzom Polski przykład najświetniejszy artyzmu, wdzięku i geniusza.

## ZAPOWIEDŹ POWIEŚCI

(*Wacława Grubińskiego: „Człowiek z klarnetem“*).

Lubię styl Grubińskiego, prosty, jasny i kiedy trzeba kunsztowny. Nie lubię jednak środowiska typów, w które nas autor wprowadza, ani ich myśli i poglądów na rzeczy i świat. Grubiński kocha się w zawiłościach jest dialektykiem z założenia, komplikuje wszystko, aby najprostszym rzeczom dopomóc do zwycięstwa.

Rozumiem intelektualizm Remy de Gourmonta, dla którego wszystko co warte spojrzenia, jest kwiatem wyrafinowanego mózgu. Rozumiem konceptualizm artystyczny autora „Sixtyny”, chociaż na chłodno i na zimno przyjmuję wszystkie ewolucje duchowe bohaterów tej ultraracjonalistycznej powieści. Ale intelektualizm Grubińskiego wydaje mi się nieistotnym. Nie dlatego, iżby autora „Kochanków” nie było stać na ostry sztych paradoksu lub na odkrywcze nawet odsłanianie sprzeczności myślowych, ale poprostu przez to, że Grubiński jest intelektualistą dla stylu, dla gestu, a nie z potrzeby serca.

Autor „Ognia” i „Księgi żywota” (tytuły dwóch najlepszych nowel) popełnia w ostatnim zbiorze nowel jeden zasadniczy błąd przeciw własnemu duchowi. Nastraja się na sztywność, a jest miękki, stara się o obiektywizm, a jest najbardziej subiektywny, pragnie być interesujący, a jest jednostajny. Jednostajny prawem swojej indywidualności, która przecieka poprzez szczeliny paradoksalnej dialektyki.

Bo jakże inaczej. Wszystko jest niby względne i wszystko jest niby niczem wobec śmierci. A naprawdę wszystko posiada swój immanentny dogmat, a życie zawsze zwycięża śmierć. Immanentny dogmat Grubińskiego to miłość—napewno nie platońska—ale miłość jako łańcuch doświadczeń małych, wielkich, olbrzymich. Różnica wielkości niema tu żadnego znaczenia wobec barwy. A życie. Gdyby określić stosunek Grubińskiego do życia, należałoby przypomnieć te wiersze liryczne, które wydają mu się tak śmieszne (o wodo, wodo...). Krzyk, zachwyt, upojenie.

Gdybym nazwał Grubińskiego sensualistą, napewno zaczęłyby głośno protestować. Gdzież refleksyjne doświadczenie 40-o letniego pana, pijącego miłość z taką swobodą i znanstwem, z jaką pije się dobry



koniak. Mądrość jest umiejętnością używania życia— zdają się mówić bohaterowie jego opowieści. Ale najistotniejszy bohater tej książki, ukryty poza proteuszowemi maskami, wykrzywia swą twarz do tych masek i woła że to wszystko, co mówi Artur, Paweł i inni figuranci dialogów, — to zabawa w snobistyczne domki, poza którymi skrywa się straszliwa Nicosc (dawniej myślałem, że nuda).

Czyżby Grubiński, który tyle wie i tyle się nauczył, bał się tchnienia nicości. Jego Salome stanęła odważnie do walki z potworem nudy. Ale Grubiński nie pragnie głowy Johanaana, a jego kobietom wystarczą kremowe róże, aby stracić równowagę myśli.

A szkoda. Każda książka Grubińskiego — jednego z niewielu u nas pisarzy, których warto czytać, — jest dla mnie pewnem rozczarowaniem. Właściwie należałoby wytoczyć autorowi „Lwów” proces o uleganie pokusom estetyzmu. Kiedyś nazwałem stosunek Grubińskiego do życia stosunkiem perspektywicznym. Od tego czasu stosunek nie uległ żadnej zmianie.

Grubiński się bawi, jest miły, flirtuje, uznaje głupich mężczyzn dla mądrych kobiet, zna się na winach i uwielbia sentyment erotyzmu.

Wydawałoby się, że to wszystko, co można o ostatniej jego książce napisać. A jednak nie wszystko. Bo poza dezynwoluturą dialektyczną, poza sumiennem artystostwem słowa, poza puryzmem kompozycji, kryje się poważny człowiek, który chce się wykpić życiu. Jakaś zabawa w kozaka i tatarzyna. Życie go za kołnierz, a on — za aforyzm. Ono potrafi o tragedję, a on — o ciekawe przeżycie. Kiedy Stanisław Przybyszewski pisał przedmowę do pierwszej książki Grubińskiego, miał wszelkie podstawy przypuszczać, że prezentuje literaturze świetnego prozatora. Prozatorem tym Grubiński został, ale wybrał sobie z szerokiej płaszczyzny prozy pozycję najwygodniejszą. Klejnoty, drobiazgi, spostrzeżenia i abstrakcje. Dialektyka pieścidełek.

Niewątpliwie i w tym rodzaju można dojść do doskonałości. Ale Grubińskiego talent stać na inny rodzaj. W ostatnim zbiorze nowel, w którym niema prawie zupełnie ludzi, a są tylko słowa, jest jedna postać, jeden konflikt, jedna nowela, mogąca stać się dla powieściopisarza punktem wyjścia do konstrukcji rzeczywistości powieściowej. Nowelą tą jest „Księga żywota”. Tę księgę, pełną bardzo ciekawych pomysłów psychologicznych, obserwacji czysto życiowych, skrótów, które są albo darem intuicji albo doświadczenia, zamknął Grubiński, niestety, bardzo prędko. Jak gdyby się bał, długiego oddechu, jak gdyby impresja przeżycia zastąpić miała sam proces przeżywania.

A chociaż opowieść ta ma formę fragmentu, pozostawia ona po sobie wspomnienie czegoś skończonego i naprawdę żywego. Tragedję Andrzeja, zakochanego w Marcysi, o której nie wiadomo, czy jest cudzą narzeczoną, czy jego przyszłą kochanką, przeprowadził autor z epicką ścisłością.

Napisał wstęp do powieści i każe nam wierzyć, że napisał nowelę. Tego komplementu nie można skierować pod adresem innych fragmentów ostatniej jego książki. Wszystkie są albo dialogami, które Grubiński sam ze sobą prowadzi, albo szkicami noweli-

styczniami. Natomiast „Księga żywota” przekona nawet najbardziej opornych, że gdyby Grubiński chciał... to by mógł...

A więc uważajmy ostatni tom nowel Grubińskiego za zapowiedź pierwszej jego powieści, która będzie napisana napewno świetnie a pomyślana bardzo interesująco.

Emil Breiter

## Z MARTWEJ ROZTOKI

1.  
*Po trudach walk nieudanych,  
Po upadach, zawodach głębokich,  
Doświadczeniem daremnem zoięzaly,  
Wracam do martwej roztoki...*

*Cóż to za zwodne mirażę?  
(Wietrze, uludę przewieję)  
Ostavilem ją pustym omentarzem,  
A oto lasem się drzewi.*

2.  
*Stanąłem nad wyschlým potokiem —  
(Lesie zdarzeń!) —  
Woda się skądś znowu nabiera —  
Z kamieniami bełkotem się swarzy.  
Czas oto postąpił krokiem — —  
Nie ginie nic, co oczom umiera.*

3.  
*Na omentarnych, otwartych uboczach  
Młody się otawił las.  
Omroczyły się zagajem stocza,  
Gdziem owce pasł.*

*Ni poznać miejsca pamiętne,  
Gdzie tyle zbiegło lat.  
Czas nowem nakrył-je piętnem,  
A tamto skradł.*

*Co bawiło oczy w młodych leciech,  
Zozezło gdzieś z biegiem dni.  
Człek błąka się po obcym mu świecie,  
Umarle śni...*

WŁ. ORKAN.

## NA MARGINESIE DYSKUSJI W SPRAWIE KATEDR LITERATURY WSPÓŁCZESNEJ NA UNIWERSYTETACH

W sprawie wykładów literatury współczesnej na uniwersytetach zabierało już głos szereg osób. Wydaje mi się, że zbyt często dawano przy tem upust fobji do uczonych filologów, którym, zapewne niejednym z dysputantów ma wiele do zawdzięczenia. Takie stawianie sprawy nie sprzyja zbyt obiektywnemu ustaleniu przyczyn obecnego stanu



rzeczy, oraz wynikających stąd następstw. Czyni się z profesorów jakąś mafię, która w imię niewiadomo jakich interesów czyha na każdego „współczesnika“, aby go czempredziej zatłamsić. Nawiasem zaś można powiedzieć, że te „mumje“ interesują się współczesnością zapewne nie mniej żywo, niż zawodowi współczesności podbijacze, a co więcej — okazują nieraz bardzo wiele zainteresowania, sympatji i pomocy nie tylko dla młodych, ale nawet i dla najmłodszych twórców.

Nie w sprzysiężonym więc oporze profesorów leży punkt ciężkości zagadnienia, lecz gdzieindziej.

P. Jerzy Sander w swoim polemicznym wystąpieniu zaznaczył, że „stosowanie metod, jakimi operuje dzisiejsza naukowa krytyka, czy historia literatury, do zjawisk współczesnych — żywych... zawierałaby w sobie paradoksalność. I później: „nie możemy brać za złe współczesnej metodologii, że eliminuje ze sfery badań literackich literaturę żywą“.

W przytoczonych powyżej zdaniach byłoby może i trzy czwarte racji, gdyby jednak pan S. zamiast mówić o „współczesnej metodologii“, mówił prosto o metodach, które istotnie panują dzisiaj na naszych uniwersytetach prawie że niepodzielnie. Nie są to jednak metody dzisiejsze, jak zdaje się myśleć pan S., lecz wczorajsze, a nawet przedwczorajsze. One to właśnie przyczyniają się do zaciemnienia poglądu na sprawę, o którą nam chodzi i do mimowolnej eliminacji literatury żywej z naszych wykładów uniwersyteckich.

Należałoby zwrócić tu uwagę na t. zw. metodę filologiczną, a raczej na sposób jej stosowania w badaniach literackich.

Podstawą i punktem wyjścia badań historyczno-literackich jest oczywiście jakiś tekst literacki i inaczej być nie może. Niestety jednak, w naszych badaniach literackich tekst staje się jednocześnie niejako celem samym w sobie. Przy takim traktowaniu sprawy punkt ciężkości pracy historyka literatury leży w ustaleniu psychologicznej i źródłowej genezy utworu, w odnalezieniu wpływów i zależności, w skrupulatnym analizowaniu utworu, z rozbijaniem go na najprzeróżniejsze części składowe i t. d.

Nawet w analizie estetycznej utworu poza ogólnikowymi określeniami, spotykamy się conajwyżej ze statystycznymi danymi, ile razy jakiś rzeczownik, czy przymiotnik, albo jakiś rym — został przez pisarza użyty. Klasycznym przykładem takich badań jest wydana niedawno praca H. Balka: *Z badań nad wyobraźnią artystyczną Stanisława Wyspiańskiego*.

Cokolwiek by się o tego rodzaju badaniach myślało, to jednak przyznać trzeba, że takie chwytły i podejścia do przedmiotu nie mogą mieć zbyt skutecznego zastosowania w ujmowaniu literatury bliższej i żywej.

Na przeszkodzie bowiem stanie brak materiału pomocniczego, danych biograficznych i t. p. (niekoniernie zaś brak przyczynków i monografii, jak twierdzi p. J. N. Miller — bo ostatecznie któż te przyczynki i monografie tworzy, jak nie uczeni filologowie). Inna przeszkoda, która zresztą będzie rosła w miarę czasu, to trudność ustalenia t. zw. wpływów i zależności literackich. Produkcja lite-

racka rośnie z dnia na dzień i dochodzi do niebywałych rozmiarów. Zalew książek staje się nawet palącym problemem dla wielkich bibliotek, co robić z tą inwazją drukowanego słowa. Ustalenie w takich warunkach, skąd zaczerpnął pisarz ten, czy ów motyw do swojego dzieła, staje się prosto syzyfową pracą, a wszelkie rozwiązania budzić mogą wątpliwości. Historykowi zaprawionemu do badania przeszłości, odpada również duża część pracy, związanej z ustaleniem tekstu, daty i miejsca powstania utworu, autorstwa i t. d.

Jak więc widzimy, cała przygotowawcza, laboratoryjna niejako część pracy, dziś stanowiąca w przeważnej mierze ów cel sam w sobie przy badaniach nad przeszłością literacką, nie może mieć miejsca ani być wystarczająca, jeśli chodzi o poznanie literatury współczesnej. Tutaj punkt ciężkości musi leżeć na wynikach pracy, na syntetycznym ujęciu, dającym żywy obraz pewnych całości. I tutaj dopiero przyjdą nam na pomoc istotnie współczesne koncepcje metodologiczne, przeciwstawiające się ostro genetyzmowi, akcentujące nierozkładalność całości literackich, wysuwające pojęcie t. zw. kształtu i t. p. Tekst literacki przy takim ujmowaniu staje się pomostem do odtworzenia dróg ducha w nowoczesnym tego słowa znaczeniu.

Ulubioną ucieczką naszych filologów, gdy wspomina im się o potrzebie wykładów literatury współczesnej, jest twierdzenie, że współczesnością zajmuje się krytyka literacka, podczas gdy zadaniem historii literatury, jako nauki, jest badanie przeszłości. Takie stawianie sprawy nie wydaje się zrozumiałem. Kwestja stosunku historii literatury do krytyki literackiej była w ostatnich latach przedmiotem bardzo żywej dyskusji. Najwybitniejsi filologowie zgodzili się, że zarówno przedmiot, jak i metody historii literatury i krytyki literackiej są te same. Jeśli tem nie mniej tu i owdzie próbowano ustalić pewną granicę, to i w tym nawet razie, odróżnienie tych dwu dziedzin badań literackich nie może być argumentem przeciwko wykładom literatury współczesnej na uniwersytetach bez względu na to, czy komuś spodobą się zaliczyć je do historii literatury, czy krytyki literackiej.

Pozostaje jeszcze do rozważenia inna sprawa: samo sprecyzowanie tematu, wokół którego toczy się dyskusja. Co właściwie mamy rozumieć przez literaturę współczesną?

Wybitny krytyk p. J. N. Miller, domaga się np. katedry literatury współczesnej z tem zastrzeżeniem, że będzie ona obejmować dzieła i twórców niepodległej Polski po r. 1918. Takie żądanie wydaje mi się przynajmniej na dziś wielce zbyt kownym, a nawet demagogicznym i doktrynerskim. Przecież dotychczas prawie, że nie mieliśmy wykładów z epoki pozytywizmu polskiego, a cóż dopiero mówić o wielkiej literaturze Młodej Polski, o Żeromskim, Wyspiańskim, Kasproviczu i tylu innych mocarzach słowa i konstruktorach życia polskiego, których twórczość jeśli nie całkowicie, to w znacznej mierze przypada na czas poprzedzający rok 1918. Nie sądzi chyba p. J. N. Miller, ażeby twórczość tych pisarzy w niepodległej Polsce (o ile się jej doczekali),



była zajęciem całkowicie nowych pozycji wobec rzeczywistości.

Ale takie stawianie w czasie słupa granicznego z napisem 1918 (czy jakimkolwiek innym) nie wydaje mi się właściwym i z innych względów.

Jeśli bowiem zwróciliśmy uwagę na pisarzy, którzy weszli do literatury po roku 1918, to większość z pośród nich nie przedstawia twórców skryształizowanych i często nawet krytyka powstrzymuje się od wydawania na ich temat sądów wyraźnych i zdecydowanych.

Sądzę, że do literatury współczesnej zaliczyliby więc należało dzieła pisarzy żyjących, których pozycja w sztuce jest już ustalona, oraz tych pisarzy nieżyjących, których twórczość nie przestała być żywą. (Nie mówię tu o t. zw. renesansie pisarza lub dzieła).

Pogląd taki bardzo pięknie wyraził p. Juliusz Kaden-Bandrowski w swoim odczycie berlińskim, mówiąc: „Przez (literaturę) współczesną rozumiem nie tę, którą się w ostatniej chwili pod wieńcówkę wyciąga i dachem kryje, lecz tę, w której niby w domu wytchnienia swego chodzi i mieszka naród cały. Wiadomo przecież, że przy dobrej robocie każde dziś — jutru dopiero służy; a każde wczoraj dzień dzisiejszy wypełnia”<sup>\*)</sup>.

A teraz kiedy dzięki uprzejmości Pana Redaktora mogłem zabrać głos w interesującej dyskusji i parę uwag na ten temat wypowiedzieć — pozwolę sobie zadać pytanie, czy cały ten bój o literaturę współczesną na uniwersytecie nie był stoczony „za błękitami” i czy front, że go tak nazwę, antyprofesorski, jest zajęciem właściwej pozycji wobec wysuniętego zagadnienia? Nigdy nie słyszałem, aby profesorowie stawiali zacięty opór przeciw wdzieraniu się współczesności w mojem i p. J. Kaden-Bandrowskiego tego słowa rozumieniu, do wykładów uniwersyteckich. Zdaje się, że poza teoretycznymi wywnurzeniami nie mieli nawet ku temu faktycznej sposobności. Wiem natomiast, że w seminarjach polonistycznych pisze się prace o autorach współczesnych i żyjących i że profesorowie przyjmują te prace, jako rozprawy doktorskie. Nie sądzę przeto, aby mieli się sprzeciwiać, gdyby ktoś zechciał się habilitować z pracy o autorze współczesnym i prowadzić później wykłady z współczesnej literatury.

Co się zaś tyczy wykładających już profesorów, to trudno od nich wymagać, aby się zajmowali gruntownym badaniem współczesności, skoro ich dawniejsze prace i badania szły w kierunku innych epok.

Jeśliby więc się miało wyrażać swoje życzenia w kierunku zrealizowania postulatów, wysuniętych przez p. J. Kadena-Bandrowskiego, to sądzę, że w pierwszym rzędzie należałoby życzyć, aby w dziedzinie metodologii naszych badań literackich powiał nowy silniejszy wiatr od Zachodu, a następnie by znaleźli się młodzi uczeni, którzyby chcieli naukowo i systematycznie nad współczesną literaturą pracować.

A. Barta.

<sup>\*)</sup> Juliusz Kaden-Bandrowski: „Rzymianie Wschodu”, Nakład Sekcji Bibliofilów Koła Polonistów S. U. W. „Osso-lineum”.

## WANDEA POEZJI POLSKIEJ

(Czartak. Zbór poetów w Beskidzie. Poezje i proza.)

KRAKÓW, 1928

„Wywodzi się z ziemi” powiada we wstępnym oświadczeniu Emil Zegadłowicz. „Ziemia, o której się opieramy, ta wielka czyścicielka, wchłania wszystkie zbyteczne, nieistotne w nas cynizmy, kłamstwa, małości, przeczulenia, próżności głupstwa, choroby i kaprysy” — powiada jego towarzysz broni, Edward Kozikowski.

Wyznanie te cechuje pogarda dla miasta i jego kultury. Wieś ma być ożywcza kapielą, spłókującą z poety wszystko, co tylko nie jest sama dobrocią, nadzieją, wiarą i Miłością. Ten punkt widzenia doprowadził do utworzenia się zamiast grupy poetyckiej, klubu proroków — wszystko-wiedzów, proroków z ducha, w życiu — prostotliwców.

Gest proroka upraszcza świat. Z zadziwiająca naprzykład beztroską rzucił Zegadłowicz następujący aforyzm: „Historjofilia polska, poezja polska, myśl polska idzie po linii ziemi”. A przecież podobnych aforyzmów na temat chociażby przemysłu węglowego, naftowego, drzewnego można urobić multum bez większego namysłu. Filozofie tego rodzaju są jedynie skojarzeniami poetyckimi, nie wytrzymującymi żadnej literalnie krytyki. Pomijam już fałsz historyczny.

Powrót do ziemi, do wsi, do natury opiera się na przeświadczeniu, że literatura „miejska”, czy „urbanistyczna” stacza się ku jakiemś schyłkowi. Poczyna się nawet wydawać na chwilę, że czartakowcy są chiljastami, że wierzą w rychły koniec świata, oznajmiony już przez koniec (śmierć) literatury.

Warto przyjrzeć się tym, którzy przygarneli nadszłych chiljastów. Jedyną dzielnicą w Polsce, która z sympatją i uznaniem czyta i wita czartakowców jest Poznańskie, nasza Wanda i Okopy Świętej Trójcy. W bylej Kongresówce czują się oni prawdopodobnie jak in partibus infidelium. Do reakcyjności jednak nie zechcą się przyznać. Powiedzą, że im każdy czytelnik jest miły, i że nie mają nic przeciwko temu, aby ich sobie zaanektował Piast chociażby. Wyzwolenie lub P. P. S. Miły będzie im każdy, ktokolwiek ich uzna. Ale najwidoczniej jest w ich światopoglądzie, programie poezji coś tak gruntownie skamieniałego, tak utartego myślowo, że jedyny rezonans mogły znaleźć wniosły maksymy „Czartaka” jedynie w najreakcyjniejszej z dzielnic. Freudysta powiedziałby może znając ten wątek dalej, że ucieczka z miasta na wieś jest chęcią zamknięcia oczu na kompleks, któremu na imię: proletarijat.

Rola krytyki wobec zjawisk, podobnych „Czartakowi” sprowadza się do oznaczenia miejsc martwych.

Beskid jest nowego typu działem, wynalezionym przez grupę „Czartaka”. Działo to ma ją wystrzelić w kosmos. Nie bez kozery trafiają się w enuncjacjach „Czartaka” zwroty takie, jak uniwersalizm (ale nie ten Millerowski, tylko w sensie



panteistycznym), dostojność, królestwo Boże na ziemi, przyroda (też w tym panteistycznym sensie), prawdy ewangeliczne.

Zastanawia program psychologiczny „Czartaka”. „Treść jest wszystkim; o nią w sobie walczymy; forma jest ciałem, treść duchem kształtującym powłokę swą wedle miary i potrzeby.

Stąd też otwarte są na oścież okna i drzwi na wszystkie zagadnienia artystyczne, religijne średniość; religijne: oparcie o ewangelję o miłość; średniość; religijne: oparcie o ewangelję, o miłość; społeczne: pokochanie wzwyż i upadków, każdej biedy ludzkiej i nędzy, dojrzenie poza jakąkolwiek maską czy daniem, poza czy histrioństwem: człowieka! — we wszystkim, bliskim i dalekim, nie zapominając ani na chwilę o misji duchowej narodu przez „osadzanie w duszy człowieczej tronu dla Boga”. (Zegadłowicz).

Otóż to. Franciszkanizm stał się metoda, technika życia, jak widzimy. Pytanie, czy nie jest jednak ubóstwem to ustawiczne odwoływanie się do arcywzorów ubóstwa, prostoty i skromności. Jako sposób szukania „Człowieka”, jest ubóstwem, powiedzmy nie duszy, ale poprostu techniki. Nie wtrzymajmy współzawodnictwa innych, bardziej „grzesznych” metod.

Może nastaje w poezji nowy jakiś okres Wielkich Słów? A może to na szeroka skala zakrojona mistyfikacja? Oczom własnym wierzyć się nie chce, czytając taki np. ustęp ze wstępnego ideologicznego wstępku maska czy udaniem, poza czy histrioństwem: to nazwy tylko! — istota jest ta sama, — ona to przez swoich emisariuszy, którymi są rolnicy i poeci, stwarza byt i legendę narodu“.

Duch ludzki istotnie jest wolny i granica jego zasięgu jest tylko granica możliwości, ale istnieją też granice uproszczeń, stających się wręcz kłamstwem. Dowodzone niejednokrotnie, że kłamstwo jest domeną poezji. Ale mowa była o kłamstwie twórczym, o nowych kombinacjach myślowych, o deformowaniu znanych związków rzeczywistości. Cóż dali czartakowcy? Poezję turystyczną, choć na każdym zapewniają kroku, że przyroda jest ich żywiołem. Podziwianie Beskidu w różnych tonacjach, w majorze burzy i minorze pogodnego zachodu, jest właśnie **obcem** na Beskid spojrzeniem, zachwytem wycieczkowicza. Cała poezja „Czartaka” jest jedną wielką tautologią.

Tartarin z Taraskonu niekoniecznie jest prowansalczykiem. Mamy w „Czartaku” swoje polskie bractwo niedzielnych strzelców do czapek. I nie pomoże nazywanie się czartakowców regionalistami, bo oni nimi nie są („pomijam rozmyślnie problem regionalizmu, jako zbyt jasny i wyraźny” powiada nawiasem Zegadłowicz — str. 13).

Regionalizm jest przedewszystkiem zjawiskiem gospodarczym, a potem dopiero kulturalnym. Pierwszy reprezentuje na Podhalu Władysław Orkan, drugi na Wileńszczyźnie grupa ludzi, jednoczących się około pisma „Źródło mocy”. Poszczególnych regionalizmów jest w Polsce więcej, np. kielecki (którego głosiicielem był Żeromski), pomorsko-poznański polityczny, co jest zjawiskiem innego znowu rzędu).

Może ich być i chyba będzie o wiele więcej. Ale regionalistą jest człowiek, związany ze swoją dzielnicą wiezami w każdym bądź razie innemi, niż czysto literackie. Bo wtedy poezja regionalistyczna niczem innym się nie staje, jak schlebieniem własnemu tytułowi, usprawiedliwianiem go. Zresztą „Czartak 1928” jest pewnego rodzaju omnibusem. Drukowane są tu poezje wiejskie i miejskie, co jest przecież *contradictio in adiecto*. Zastanawia także niepotrzebny dział recenzyjny, obrobiony bardzo nieciekawie przez p. Józefa Birkenmajera. Czartakowcy, dbając o własny interes, powinni by zamiast tych krytycznych strzępów przetłumaczyć kilka artykułów o regionalizmie francuskim albo włoskim, co stworzyłoby chociaż pozory wspólności „Czartaka” z poezją grobową nie tylko *via Beskid*, ale i *via Francia*, czy *Szwecja*.

Godna uwagi jest różnica, jaką znajdujemy między poezją „Czartaka” a jego uzasadnieniami ideologicznymi. W poezji mamy radość życia, raczej cieszenie się życiem, entuzjastyczne opisy. W artykułach natomiast oprócz apologii wsi, na plan pierwszy wysuwa się motyw miasta — wsteczniczego Babilonu i Niniwy, siedliska siedmiu grzechów głównych. „Zbiorowiska miejskie... uważamy... za jedną z tych licznych pomyłek, którym ludzkość w pochodzie dziejowym ulega; pomyłek tych jest dużo, niektóre są tamujące i straszne w swym egoizmie klasowym.” Warto by jednak spytać tych przeciwników miasta, gdzie drukowali swój arcywspaniale wydany tom, na wsi, czy też w drukarni wielkomięskiej, która bezwzględnie wyzyskuje swych pracowników, jak każdy przedsiębiorca. Zgrzeszył więc świętobliwy Emil Zegadłowicz wraz ze swą beskidzką konfraternią.

Reasumuję. Najważniejszy zarzut: „Czartak” nie jest poezją regionalistyczną, nie ma z regionalizmem nic wspólnego, poza akcesorjami. Ideologia „Czartaka” jest najwinnie wstecznicza. Jako poezja nie wnosi nic nowego, rozpełza się bowiem do powierzchni, nie sięgając w głąb.

„Czartak” jest typowym objawem intelektualnego bezwładu, zjawiskiem szkodliwym, jak każda jałowa działalność.

Henryk Drzewiecki

## ZIELONY SEZON WYDAWNICZY

Wiosenny „zielony” sezon wydawniczy przynosi wiele nowości i wiele debiutów autorskich. Z nowości poważnych wymienić należy na pierwszym miejscu nową fantastyczną powieść Andrzeja Struga (Fortuna Spiewankiewicza), którą omówimy w specjalnym sprawozdaniu. Stwierdzamy na razie z tego miejsca radosny fakt, iż znakomity autor „Dziejów Jednego Pocisku” przerwał trzyletnie milczenie i z powrotem wstępuje w szranki wydawnicze.

Z pośród debiutów zanotować należy tomik nowel Rafała Malczewskiego „Narkotyk Gór” pomnażający wcale już u nas bogatą literaturę tatrzańską,



i Mortkowiczówniej „Gorycz Wiośniana”. Młoda autorka pierwszy raz próbuje tu formy powieściowej. Wreszcie — dwa debiuty poetyckie: Brandstaettera i Kruczkowskiego. „Jarzma” Brandstaettera“ (którego drukowaliśmy często w dziale poetyckim Głosu Prawdy), odznaczają się świadomością sztuki poetyckiej, mocną celową robotą, wielką plastyką obrazu i twardą rozumną metaforą. Może nawet zbyt surowym zawsze i zbyt dyscyplinowanym stara się być młody ten poeta?

„Młoty Nad Światem” L. Kruczkowskiego, mimo wielu szczęśliwych chwytów w formie wiersza mogły być może jeszcze poczekać na t. zw. światło dzienne, czyli druk. Młodzi poeci nasi śpieszą się na rynek autorski jakby się bali, iż aktualne ich natchnienie zestarzeje się w ciszy manuskryptu. A jednak, kto wie, czy właśnie próba czasu nie byłaby tu bardzo korzystna?

Wśród wszystkich poezji wiosennych na pierwszym miejscu postawić należy tomik Hlakowiczówniej „Zwierciadło Nocy”, który omówimy specjalnie.

Z pośród poetów wileńskich wystąpili z tomikami Łopalewski (Piękna Podróż) i Witold Hulewicz z przekładem „Księgi Obrazów” R. M. Rilkego. Przekłady te omówimy specjalnie. Rzecz ukazała się nakładem autora, którego, jak sądzić można z szaty wydawniczej srodze pokrzywdził drukarz, p. J. Sidorowski. Druk wierszy Rilkego w wielu miejscach rozlewa się, zamazuje, książki niepodobna otworzyć, by się nie rozleciała na kawałki, tak jest nieszczęśliwie zszyta.

P. Stanisław Bąkowski wydał u Hoesicka poezje p. t. Lotnik Niezłomny.

Dość bogato, — ilościowo rzecz biorąc — przedstawia się dorobek prozy w sezonie wiosennym. Nowe rzeczy dają E. Czekalski (Milczące Młyny) J. Gardecki (było nas Trzech), Z. Kisielewski. (powieść Amerykanka), Herminja Naglerowa (Motyw Księżyca).

Zwraca uwagę ostatni tom Z. Kleszczyńskiego (nowele, Siostry Cleo). Autor pracuje szybko, chwytta tematy szerokie, łatwo dostępne, traktuje je dość zewnętrznie, a jednak z ogromnym wyczuciem plastyki opisu. Przez to, co powiem nie chcę bynajmniej umniejszać skali, czy możliwości pisarskich Kleszczyńskiego. Wydaje mi się, iż ma wyjątkowe poczucie t. zw. gustu szerokich mas. Że ma odpowiednią szybkość i gładkość pióra i ów szeroki dekoracyjny, czy plakatowy sposób stawiania problemu literackiego. Gdyby można kierować autorami, względnie zamawiać u nich prace, jak się zamawia u malarzy obrazy, zamówiłbym u Kleszczyńskiego wielką powieść popularną polską.

Mogłaby wypaść świetnie i zapelnąć nareszcie tę lukę, przez którą w tak wielkich masach przeciska się do naszego piśmiennictwa tandeta zagraniczna.

Ostatni tom J. Wiktora wydaje się jakimś nieporozumieniem, które opanowało pracownię tak dobrze zapowiadającego się pisarza. Piękny sentyment, rzetelne odczucie przyrody, cierpienia i krzywdy i miłości będzie w sztuce zawsze bezsil-

ne o ile owych skarbów duszy nie poprze porządna, rzetelna praca artystyczna. „Srogi Pies i Sentymentalny Zajac”, J. Wiktora sprawiają wrażenie szkicu. Tak pod względem układu samej treści, rozwoju akcji, jak pod względem modelunku prozy, układu zdań i ich rytmu.

Z pośród literatury specjalnej trzy książki zdobyły sobie w ostatnich tygodniach wyjątkowe powodzenie: Gen. Michaelisa „Burza Dziejowa”, gen. Sikorskiego „Nad Wisłą i Wkra” wreszcie T. Sztekiera „W Potrójnym Nelsonie”.

Książka p. Michaelisa wydaje się nam wprost groźna: Gdyby ktoś chciał wytworzyć sobie właściwe pojęcie o tem, jak może wyglądać dusza człowieka pokonanego jarmem niewoli, — niech przeczyta tę książkę.

Jest to pamiętnik generała ze służby rosyjskiej z czasu światowej wojny. Pamiętnik biernego całkowicie wykonawcy cudzych rozkazów. Rozkazów władzy, poza którą w sensie jakiegoś czynu lub inicjatywy autor nie widzi nic i nie rozumie nic. Tak dalece, iż nawet nie rozumie, dlaczego ta władza upada, i że jest podminowana zgnilizną, i że nosi w sobie swój rozkład, i że upaść musi.

Gdyby nie parę ustępów wreszta bardzo powierzchownie traktujących t. zw. sprawę polską, możnaby przypuszczać, iż „Burza” Michaelisa jest tłumaczeniem książki jakiegoś carskiego generała o bojach na rosyjskim froncie.

Gen. Sikorski wystąpił z wielkim dziełem, w którym stara się udowodnić, iż pobiliśmy bolszewików na dwóch frontach. Tam gdzie walczył Marszałek Piłsudski (uderzenie od Dębłina) i tam gdzie walczył gen. Sikorski (na północy). Dowodzenie gen. Sikorskiego zachwycić może laika, lubiącego czytać przerabiane przez popularyzatorów opisy wojen, bitew i t. p. Przy bliższej analizie widzi się jednak, że tezy gen. Sikorskiego nie trzymają się dobrze. Przeciwnie z książki zdaje się niezbitie wynikać, iż gen. Sikorski zmieniając plan Naczelnego Dowództwa do spółki z gen. Rozwadowskim i Weygand'em oddał sprawie pokonania bolszewików niedźwiedzią usługę, dopuścił bowiem nieprzyjaciela aż pod Płock, pozwolił umknąć korpusowi Gay-Chana, wreszcie nie rozgromił dywizyj nieprzyjacielskich, które mógł był rozgromić.

Książkę „Nad Wisłą i Wkra” względnie okładkę tego dzieła zdobi Virtuti Militari. Dlaczego generał używa znaku będącego własnością całej armji, — gwoli przyozdobienia swojej własnej książki pozostanie tajemnicą generała. Czy nie jest to jednak znacznym nadużyciem własności, będącym w takim właśnie stosunku do dysponowania owym znakiem, w jakim pozostaje, — liczebnie sprawę biorąc — jeden znak do wszystkich innych, które wywalczyła sobie w polu cała armja?

A teraz — „W Potrójnym Nelsonie”... Przyznam się, może we wstydem, że książkę tę przeczytałem — jednym tchem. Sądzę, iż literaturze naszej bardzo dobrze przysłużą się książki czy t. zw. wspomnienia specjalistów. Wnoszą one do piśmiennictwa dokładny opis rzeczy i wszelakich procedurów, zwracają uwagę na konieczność dobrze postawionego,



gruntownie poznanego środowiska. Sztekkier pisze naiwnie, nader śmiesznie filozofuje na temat miłości, zaleca ćwiczenia (przerabiałem je kilka dni), które mojem zdaniem są jednostronne, niemniej przeto pociąga szczerością wyznań i dokładnością przerażającego tematu. Temat zawsze pociągnie, a nawet zwycięży czytelnika, gdy go przedstawi autor tak, jak to czynił Sztekkier, z zapalem, a nawet z miłością.

*Juljusz Kaden-Bandrowski*

## WHITMANIANA

*(Przeciwnicy i wielbiciel W. Whitmana)*

Dokoła twórczości „poety demokracji”, „proroka z Long Island” „amerykańskiego Nietzchego” — Walta Whitmana, po dziś dzień nie ustał wielki spór krytyczny: czy był on istotnie geniuszem poezji, czy raczej filozofem poetyzującym. Jak wiadomo twórczość poetycka (i publicystyczna) Walta Whitmana jest bardzo nierówna, obok pereł najczystsze- go natchnienia, obok precudnych nomatopei, przedziwnych skojarzeń słownych i obrazowych, znajdujemy w niej dziwactwa barbarzyńskie, nie dziwnego więc, że twórczość ta po dziś dzień jest przedmiotem z jednej strony bezgranicznego zachwytu, z drugiej celem drwin i pocisków krytycznych. W sporze o Whitmana zabierali głos nie bylejący pisarze, dość wspomnieć choćby: Emersona, O. Wilde'a, Tolstoja, Bjernstjörne Björnsona, Roberta L. Stevensona, Knuta Hamsuna, prof. Edwarda Carpentera, W. Jamesa.

\* \* \*

Pozostała ogromna angielska literatura krytyczno-polemiczna o Whitmanie. Z wybitniejszych prac wymienionych: „Walt Whitman” A study by John Addington Symonds, London (George Routledge et Co.) omawiająca filozofję Whitmana. — „Days with Walt Whitman” by Edward Carpenter, London (George Allen Ruskin House — osobiste wspomnienia o Whitmanie; „Whitman”. A study by John Burroughs, Boston and New York (Houghton, Mifflin et Co); „Walt Whitman his Life and Work”, by Bliss Perry, London (Archibald Constable; Walt Whitman in Camden, by Horace Traubel, Boston (Small, Maynard et Co) — dzieło przyjaciela osobistego poety; Walt Whitman, by Isaak Hull Platt, Boston (tamże); Studies in Literature, by Edward Dowden (London, Kegan Paul, Trench; „Familiar Studies of Men and Books”, by R. L. Stevenson, London (Chatto et Windus). — Prócz tych cały szereg dzieł krytyków francuskich, niemieckich holenderskich, duńskich, włoskich rosyjskich i czeskich.

Sam poeta, ja wiadomo, nie interesował się wielce sądami o sobie, acz chętnie je wysłuchiwał. Gdy wyszła jego książka „Pędy traw” — sam napisał o sobie kilka entuzjastycznych artykułów, w stylu reklam amerykańskich, w których uznał się za równego Goethemu, Szekspirowi, Homerowi. „Nareszcie ukazał się prawdziwy amerykański bard —

pisal. — Od tej chwili zaczyna się nasza wspaniała literatura. W czas przyszłości na świat, poeto!” (Democr. Review 1855). Kiedy indziej pisał o sobie: „Tęgi, barczysty! Najczystszy Amerykanin! Ani razu nie był w aptece! Twarz opalona! Rumieniec na twarzy! Broda gdzieniegdzie siwawa! Kochany przez wszystkich!”

W tym samym czasie Amerykańscy i angielscy „krytycy” pisali o jego książce:

Książka Whitmana — to istny gnój! „Autor ty-leż ma pojęcia o poezji, co świnia o matematyce”. „Przydałby się na niego dobry bat!” (czasop. „Crit-ic”). „Wart pięścią po łbie” — pisało „Westminster Review”.

\* \* \*

Do najpierwszych, którzy ocenili wartość Whitmana należał słynny filozof amerykański Ralf Emerson.

„W mądrości swej jest książka Whitmana naj-wyższą ze wszystkiego, co dotąd stworzyła Ame-ryka! — Szczęśliwy jestem, że ją czytam, gdyż wielkie dzieła zawsze sprawiają nam szczęście — tak pisał o niej Emerson.

Nie mniej entuzjastycznie przyjął ją angielski filozof i uczyony Edward Carpenter: „Wyrzekłeś pan słowo, które sam Bóg miał w ustach!”

Swinburne, wielki geniusz poezji angielskiej stworzył na cześć Whitmana ode, w której wołał: „O śpiewaj dla nas swe pieśni! Twe myśli jak pio-runy, twe dźwięki, jak miecze, tyś serce wolnych serc!”

Powitał go też radośnie Oscar Wilde, który na-wet odbył podróż do Whitmana. „Nawet w swem wyrzeczeniu się artyzmu jest Whitman artystą” — pisał o nim. „W całej Ameryce tylko jedno mieszka-nie znalazłem pełne smaku. To izba, w której ujrza-łem Whitmana. Była pełną słońca i powietrza, a na stole w niej stał prosty dzban z wodą”.

Przyłączył się do entuzjastów „siwobrodego barda” również słoneczny gawędziarz i wesolek Mark Twain. „Obowiązkiem jest strzedz i dbać o tego wspaniałego starca” — pisał w prasie i sam posłał Whitmanowi dar pieniężny.

\* \* \*

Miał wszakże Walt Whitman również niebyle-jakich przeciwników. „Knut Hamsun w książce swej o „Duchowym życiu Ameryki” obszernie rozpisuje się o Whitmanie, nie pozostawiając na nim suchej nitki. Cała poezja Whitmana — to dla Hamsuna je-dno wielkie nieporozumienie, jedno potworne, bar-barzyńskie dziwactwo. Hamsun twierdzi, że: „Whit-man ani nic nie czytał, ani niczego nie przeżył. Ję-zyk Whitmana — jest najniesmaczniejszy ze wszyst-kich języków. Brak mu wszelkiego talentu. Wiersze jego to katalogi, to rejestry. Gdyby, który z norwe-skich poetów napisał takie wiersze — wzięto by go za pils i dano mu szklankę wody... Tylko naiwność kazała Whitmanowi wydrukować swą książkę...”

Niemniej ujemnie odzywa się o Whitmanie kry-tyk wiedeńsko-żydowski Max Nordau, autor osia-wionej acz tandetnej książki „Zwyrodnienie”. Pise-on: „Whitman był niewątpliwie, warjatem. Był to włóczęga i rozpustnik. Nie odróżniał dobra od zła.



Miał braki w poczuciu moralnem. Megalomanjak. Mówią, że on był dobry. Tak, ale nawet morderca Ravachol wykazywał nieraz dobroć. Na pocieszenie oburzonych dodać można, że Whitman swą jedną książką przeżył całkowicie rozgłos Nordau'a i jego licznych „dzieł“...

Tolstoj zajął wobec Whitmana stanowisko bardzo oględne. „Głównym brakiem Walta Whitmana — oświadczył — jest to, że mimo swego entuzjazmu nie ma on określonej filozofji. W wielu ważnych kwestjach życia stoi on na rozdrożu i nie wskazuje nam, jaką drogą mamy iść. A tymczasem nawet błędy i pomyłki wyraźnie widzącego człowieka — mogą być dla nas więcej warte, niż półprawdy ludzi niezdecydowanych. Jeśli myśli wyrażone są tak, że trudno je zrozumieć ludziom — źle jest“.

Z naszych pisarzy wielkich — jak wiadomo — czcicielem Whitmana był Stefan Żeromski. W „Dziejach Grzechu“ ustami poety Jaśniacha składa należny hołd piewcy kosmicznemu braterstwa rodu ludzkiego.

\* \* \*

W Polsce twór W. Whitmana nie wywołał większego poruszenia umysłów. Nie ukazały się po polsku ani jego ciekawe artykuły „Zagadnienia Demokracji“, obfitujące w niezwykle oryginalne i głębokie myśli, ani przekład jego pieśni, acz niezaprzeczony wpływ poezji Whitmana znajdujemy u naszych młodych poetów.

Ignis.

## WŚRÓD CZASOPISM

„Drang nach Osten“ w krytyce literackiej.

Spokojnie, rzeczowo, bez wymyślania od „sarmatów“, „kompresatora“, „flaku“, „prasowania powieści“ i t. p. kwiazków stylistycznych artykułu „Sarmatyzm naukowy w badaniach literatury“, rozprawia się w kwietniowym zeszyście „Przeglądu Współczesnego“ M. Kridl z krytyką Z. Łempickiego monografji Szweykowskiego o „Lalce“ Prusa. Krytyka Z. Łempickiego stawia naszej polonistyce dość zdumiewające żądanie, aby w pracach swoich wzorowała się koniecznie na modnych obecnie, szczególnie w Niemczech, teoriach metodologicznych. Żądanie takie zawiera dwa niebezpieczne postulaty: ograniczenie swobody wyboru metody, w granicach wyłącznie chaosu panującego pod tym względem w Niemczech, oraz nieuzasadnioną wiarę w zbawienność i wszechskuteczność metodologii i teorii literatury.

„Monografia Szweykowskiego — pisze M. Kridl — ma charakter raczej socjologiczny, niż ściśle literacki. Jest to metoda badania tak samo uprawniona, jak wszelkie inne... U nas przerost prac metodologicznych („modnych“ w Niemczech, a więc zalecanych przez filologa-germanistę Z. Łempickiego — dodajmy od siebie) grozi wyjałowieniem wrażliwości intelektualnej i emocjonalnej, schematyzacją i scholastyką, zanikiem talentów krytycznych“.

A ostatnie zdanie M. Kridla w tej materji przypomina, że tupet polemiczny nie zawsze chadza w parze z talentem pisarskim:

„Znane są przecież prace krytyczne wybitnych metodologów, skomponowane haniebnie i napisane bez krzty talentu pisarskiego“.

### *Kłopoty Uniwersyteckiej, reorganizacja Publicznej Biblioteki.*

Bibliotekarze nasi rzadko zabierają głos publicznie. Jedni — posepnie, inni — pogodnie, wszyscy cierpliwie znoszą, przykrą u nas obojętność względem instytucji, o których warto zanotować dwa głosy — dyrektorów.

W nr. 15 „Świata“ w artykule „W sprawie Uniwersytetu Warszawskiego“ czytamy: „Biblioteka Uniwersytecka dzisiaj przedstawia olbrzymią wartość i zajmuje 6 albo 7 miejsc wśród bibliotek europejskich. I ta oto biblioteka dusi się wprost w swych murach, gdyż co roku przybywa około 10.000 tomów, a dyrektor biblioteki oświadczył mi w tych dniach, że za lat trzy będzie musiał zamknąć dopływ nowych książek, gdyż nie będzie miał ich gdzie pomieścić“.

W nr. 111 „Epoki“ p. t. „Biblioteka Publiczna własnością miasta. Rozmowa z pł. dyr. Czernijowskim“ dowiadujemy się: „Zapewniony budżet pozwoli na otwarcie biblioteki dla publiczności przez cały dzień bez przerwy od g. 9 rano do 10 wiecz... Zaobonujemy 100 czasopism naukowych obcych... będziemy nabywać książki obce, o czym marzyć nawet nie mogliśmy... Utworzymy przy bibliotece szkołę biblioteczną z kursem rocznym“.

Tam — autonomia uniwersytecka, zagrożona (!) przez „sanację“, tu — samorząd miejski: mieszczaństwo, proletariát i garść inteligencji.

Coś się psuje w duńskim królestwie

## Z BIBLIJOFILSKIEJ ANTOLOGJI

KRASICKIANA

Do króla Stanisława Augusta.

Z góry zły przykład idzie w każdej stronie,  
Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.  
O! ty, na polskim co usiadłszy tronie,  
Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina!  
Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie;  
Z ciebie gust książek, a piwnic ruina.  
Tyś naród z kuflów, sklenic, beczek złupił.  
Bodajes w życiu nigdy się nie upił!

(Monachomachja 1778, XLIX)

Klasztorna biblioteka.

Gmach był niezmierny mniszego klasztoru,  
Od dawnych czasów używany marnie:  
Pierwszego bowiem wymysł fundatora  
Tam ustanowił niezmierną księgarnię;  
Doskonalszego coraz wieku pora  
Dostatnią z niego zrobiła spiżarnię;



A porzuciwszy marność, która uczy,  
Tego się jeła, co karmi i tuczy.  
Ledwo czytelnich książek folijały  
Ojciec kanaparz\*) lepiej dysponował:

Co przedtem próżno na pulpitych stały,  
On tam ozory, szynki uszykował;  
Pargaminami zwijał specyjały  
I, aby imbir i pieprz się nie psował,  
Pogańskie pisma i stare kroniki,  
Lepiej użyte, poszły na funciki.  
(Myszeidos pieśni X, 1775, pieśń 2-ga: V—VI).

#### Nadmiar ksiąg.

Poszła w handel nauka, kramnicą drukarnie,  
Głód kładzie pióro w rękę, zysk do pisma garnie.  
Mają dowcip na zbyciu w ten jarmark otwarty,  
Jak kramarze na łokcie, autory na karty.  
A że w handlu rzemiosło wkłada się łotrostwo,  
Stąd owe, co nas gnębi, ksiąg rozlicznych mnóstwo,  
W których rozum, naukę, dowcip, wynalazki  
Zastępuje druk, papier, pozłota, obrazki.  
Stąd niby gazą kryte, wyrazy wszeteczne  
Stąd fałsze modnym tonem, stąd bluźnierstwa grzeczne,  
Stąd owe nudne Muzy, a niezmiernie płodne,  
Stąd zbiory anekdotów, czytania niegodne,  
Stąd, pod nazwiskiem żartów dowcipnych, potwarze,  
Bajki w rząd abecadła, stąd dykcyonarze,  
Zgoła pisma niewarte nawet ksiąg nazwiska.  
O Fauście! Z twojej łaski druk głupstwa wyciska,  
Dałeś łatwość naukom, dowcipowi cechę,  
Ma świat, prawda, z przemysłu twojego pociechę,  
Lecz z tych skarbnic mądrości nieprzerachowanych  
Za jedno dobre pismo sto głupstw drukowanych.  
(Pochwała wieku; Satyry 1779, ks. 2-ga, 11).

#### Księgi.

W pewnej bibliotece, gdzie była nie pomnę,  
Powadziły się księgi; a że są wymowne,  
Łajały się do woli różnemi języki.  
Wchodzi bibliotekarz, pyta się kroniki:

\*) Piwniczny.

Dlaczego takie wrzaski? — dlatego się swarzem,  
Iżę mnie śmiał położyć obok z kalendarzem.  
Wszystko się tu porządnie, rzekł jej, posadziło,  
On zmyśla to co będzie, ty zmyślasz co było.  
(Bajki i przypowieści, 1779, s. 68).

#### Kałamarz i pióro.

Powadził się kałamarz na stoliku z piórem,  
Kto świeżo napisanej księgi był autorem.  
Nadszedł ten, co ją pisał, rozśmiał się z bajarzów.  
Wieleż takich na świecie piór i kałamarzów,  
(Bajki i przypowieści, 1779, s. 81).

#### Wybrał Este.

## ODPOWIEDZI CŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

**K. M. Monasterzyska:** Niestety, nie możemy tak obszernie sprawozdawać utworów nadsyłanych do redakcji. Zdaje się, że należy zawsze czynić odpowiednie przerwy po każdej wielkiej „inwestycyjnej pracy“. Nie należy wtedy „zaraz“ bezpośrednio pisać, gdyż zazwyczaj, dzielimy się wówczas niewiedzią z czytelnikiem lekturą własną czytelnikowi naszemu zgola nieznaną.

**Wiel:** Ze też Pani tak naiwnie te sprawy bierze? Trudno chyba, by chłopak leżąc w pieluszkach martwił się już naprzód, że żonę swoją inaczej kochać będzie niż matkę własną?!

**T. B. C. Zakopane:** Polecamy przedewszystkiem przeczytanie powieści Tomasza Manna — „Der Zauberberg“. Zabaczy Pan, jak tam ujęto owe problemy, co można z nich wykrzesać i jak daleko znajduje się Pan od wszelkiego prawa poetyczności w stosunku do obranego przez siebie zagadnienia.

**Cracoviensis:** Bardzo przeciętne impresje, niezwiązane w architektoniczną całość, a zatem niegodnego druku.

**Wojciech B. Poznań:** Nigdy konkretne wypadki, obserwowane dokładnie, a nie przerobione irracjonalną pracą zestawień i prób nie dają pożądanego wyniku w stylizacji poetyckiej. Nigdy, może prawie nigdy, może tylko naogół, tak się nam to wydaje. Dalej: Proszę porównać owego kota Baudelairowskiego i własnego. B. jest konkretny Pan zaś ze swą tajemnicą tajemnic — rozlaży się w pustce. Wiersz do przyjaciela jest jednak „pod wpływem“. Jeżeli widzimy, iż ktoś posługiwał się już tem dobrem w poezji, — mimo żalu, — winniśmy znaleźć nowe, nasze dobro. Inaczej spotka nas zawsze słuszny zarzut lenistwa. Czy może być coś smutniejszego na świecie, — jak lenistwo w poezji? Istna potworność!!!

# CZYTAJCIE „GŁOS PRAWDY“

REDAKTOR I WYDAWCA: WOJCIECH STPICZYŃSKI

Drukarnia „Literacka“, N.-Świat 22

Przesyłka poczt. opłacona ryczałtem

akc. 330/610.